

Zaufanie. To nie przelewki – Felieton (a)polityczny Tomasza Trzcińskiego



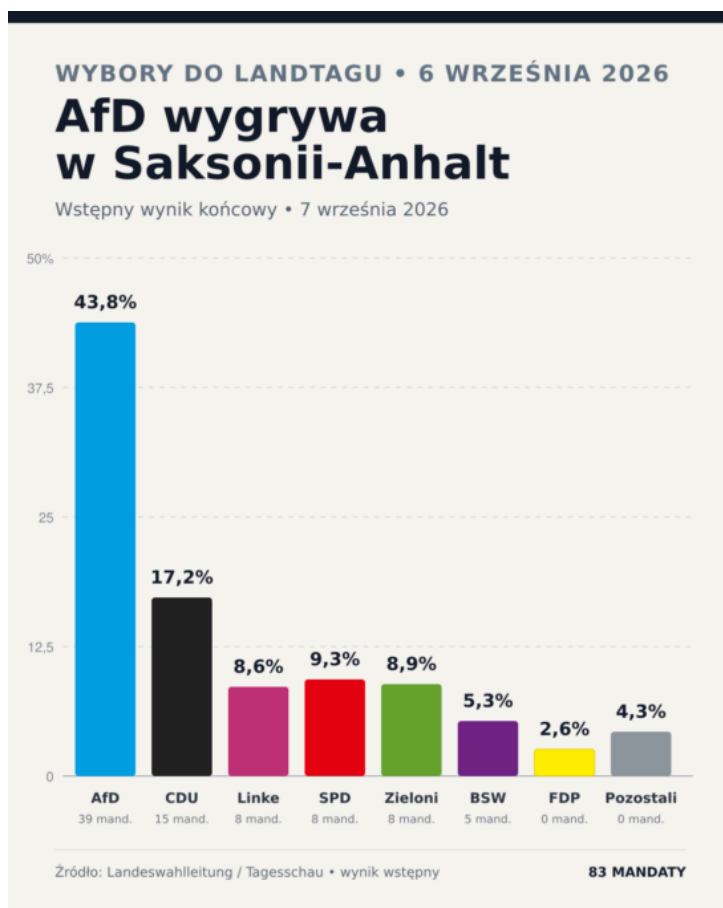
Zdjęcie: Domena publiczna

Prolog. Odpowiedź przyszła z Saksonii-Anhalt

Kiedy pisałem ten tekst, zastanawiałem się przede wszystkim nad jednym.: Jak długo? Jak długo można odbierać ludziom kolejne elementy poczucia bezpieczeństwa, zanim przestaną wierzyć tym, którzy zapewniają ich, że wszystko zmierza we właściwym kierunku? I co zrobić, kiedy przyjdzie dzień wyborów? Odpowiedź przyszła szybciej niż przypuszczałem.

6 września 2026 roku. Sachsen-Anhalt. AfD zdobyła około 45 procent głosów. CDU — niespełna 17 procent. W stosunku do wyborów z 2021 roku AfD zyskała około 24 punkty procentowe, CDU straciła około 20. I rzecz równie istotna: nastąpiła ogromna mobilizacja wyborców. Prawie 76%. To nie był bunt ludzi, którym nie chciało się iść na wybory. Poszli. Oczywiście byłoby intelektualnym nadużyciem powiedzieć, że wyborcy AfD zagłosowali tak z jednego powodu. Motywacje wyborcze nigdy nie są tak proste. Ale równie wielkim nadużyciem byłoby udawać, że wynik tej skali niczego nie mówi o stanie społeczeństwa. Mówi. I to bardzo głośno.

Być może ludzie nie przestali obawiać się radykalnej zmiany. Być może zaczęli bardziej obawiać się braku zmiany. To zasadnicza różnica. I właśnie o tym jest ten tekst.



Wstępne wyniki głosowania do Landtagu w Sachsen – Anhalt 6 września 2026 po podliczeniu głosów ze wszystkich okręgów wyborczych.

Niemiecki przemysł zwalnia

Zacznijmy więc nie od ideologii.

Od liczb:

Pod koniec pierwszego półrocza 2026 roku w niemieckim przemyśle przetwórczym pracowało o 144 100 osób mniej niż rok wcześniej. Minus 2,7 procent.

W motoryzacji ubyło 42 300 zatrudnionych, czyli 5,8 procent. Zatrudnienie w tej branży spadło do 691 500 osób — najniższego poziomu od rozpoczęcia porównywalnej statystyki w 2005 roku.

U producentów samochodów i silników spadek wyniósł 6,1 procent.

U producentów części i akcesoriów — 7,6 procent.

Chemia: minus 3,6 procent.

Produkcja wyposażenia elektrycznego: minus 3,4.

Metalurgia: minus 3,7.

Wyroby metalowe: minus 3,8.

Maszyny: minus 2,7.

To nie publicystyczna figura. To dane Statistisches Bundesamt.

Ifo jeszcze w czerwcu 2026 roku informował, że w niemieckim przemyśle nadal przeważają przedsiębiorstwa planujące redukcję zatrudnienia. A więc kiedy czterdziestokilkuletni inżynier mówi mi, że ludzie w jego

otoczeniu zawodowym boją się o pracę, nie mam już powodu odpowiadać mu: spokojnie, to tylko twoje wrażenie. Nie. Coś rzeczywiście się dzieje.

Fachowców brak. Fachowców zwalniamy

I teraz zaczyna się pierwsza z osobiwości współczesnej niemieckiej debaty.

Fachkräftemangel – Brakuje fachowców.

Słyszeliśmy to tyle razy, że określenie nabrało niemal charakteru aksjomatu. Tymczasem Bundesagentur für Arbeit w analizie rynku inżynierskiego za 2025 rok pokazuje obraz znacznie bardziej skomplikowany. W inżynierii mechanicznej i technice eksploatacyjnej liczba zgłoszonych ofert spadła o około 20 procent. Liczba nowych zgłoszeń była o 18 procent niższa niż rok wcześniej. A co najciekawsze — w części zawodów związanych z budową maszyn i techniką samochodową BA nie stwierdza już niedoboru specjalistów. Czyli fachowców oczywiście brakuje. Tylko niekoniecznie tych, których właśnie zwalniamy. Drobny szczegół, ale dla zwolnionego inżyniera może mieć pewne znaczenie. Praca nie zniknęła. Zniknął pracownik.

I tutaj dochodzimy do historii, które słyszę od ludzi znajdujących się wewnątrz tego procesu: Czterdzieści kilka lat. Inżynier. Wykształcenie. Doświadczenie. Rodzina. Kredyt(y) Kilkunastoletni albo dwudziestoletni staż. Restrukturyzacja. Redukcja kosztów. Przykro nam. Auf Wiedersehen.

Człowiek wychodzi. A po pewnym czasie widzi, że część pracy, którą wykonywał, nadal jest potrzebna. Tyle że zamawia się ją u zewnętrznego usługodawcy na drugim końcu świata. Indie. Azja. Gdziekolwiek rachunek wygląda korzystniej. Nie ma niemieckiej pensji. Nie ma niemieckich składek. Nie ma niemieckiego poziomu kosztów zatrudnienia. Jest faktura. I można odnotować sukces działu optymalizacji.

Tylko że zwolniony człowiek nie rozpułnął się w powietrzu. Nadal mieszka w Niemczech. Ma rodzinę. Płaci czynsz. Kupuje jedzenie. Ogrzewa mieszkanie. A państwo właśnie straciło człowieka, który płacił podatek dochodowy i składki, i może zyskać człowieka, któremu trzeba wypłacać świadczenia. Firma zaoszczędziła. Czy Niemcy również?

Prywatyzujemy zysk. Koszt wyślemy społeczeństwu.

To pytanie jest bardzo niewygodne. Bo z punktu widzenia pojedynczego przedsiębiorstwa rachunek może być całkowicie racjonalny. Jeżeli projekt kosztuje w Niemczech milion, a gdzie indziej pół miliona, dyrektor finansowy nie jest instytucją dobroczynną. Problem zaczyna się wtedy, kiedy setki przedsiębiorstw podejmują tę samą racjonalną decyzję. Wtedy racjonalność mikroekonomiczna może zacząć produkować makroekonomiczny absurd. Przedsiębiorstwo oszczędza. Państwo traci podatki. System traci składki. Gospodarstwo domowe ogranicza konsumpcję. Region traci siłę nabywczą. Kompetencje przenoszą się gdzie indziej. A rachunek społeczny? Spokojnie. Zapłaci podatnik.

To szczególna odmiana kapitalizmu: zysk z optymalizacji zostaje prywatny, koszt społeczny staje się publiczny. Oszczędzać musimy wszyscy. Prawie wszyscy Oczywiście przedsiębiorstwa muszą ciąć koszty. Konkurencja światowa jest bezlitosna. Tyle że człowiek wyrzucany z pracy zaczyna zadawać jeszcze jedno niezręczne pytanie:

kto właściwie ponosi koszt ratowania firmy?

Jeżeli pracownik traci stanowisko, akcjonariusz dywidendę, a zarząd premię, można mówić o wspólnym kryzysie. Jeżeli pracownik traci stanowisko, podczas gdy na szczycie hierarchii nadal funkcjonuje świat wynagrodzeń kompletnie oderwany od jego rzeczywistości, zaczyna podejrzewać, że słowo „konieczność” ma kilka definicji.

„Musimy oszczędzać” zaczyna wtedy znaczyć: wy musicie oszczędzać.

I tutaj ekonomia przechodzi w moralność. A moralność — w politykę. Rachunek nie wie, że zostałeś zwolniony. Bo rachunki przychodzą nadal. W drugiej połowie 2025 roku niemieckie gospodarstwa domowe płaciły za gaz przeciętnie 79,1 procent więcej niż w drugiej połowie 2021 roku. Za prąd — 23,4 procent więcej. W samym gazie opłaty sieciowe wzrosły rok do roku o prawie 20 procent. To bardzo ciekawe liczby dla człowieka, któremu ktoś właśnie wyjaśnił, że jego wynagrodzenie stało się zbyt wysokim kosztem. On bowiem również ma koszty.

Tylko nie posiada działu outsourcingu, do którego może wystać niemiecką fakturę za ogrzewanie. Nie przeniesie czynszu do Bangalore. Nie zamówi niemieckiego ubezpieczenia zdrowotnego w Wietnamie. Nie wyśle dzieci do szkoły w miejscu, gdzie życie kosztuje jedną trzecią tego, co tutaj. Kapitał jest globalny. Człowiek pozostaje lokalny. I to jest jedna z największych asymetrii współczesnej gospodarki.

„A wy sprowadzacie następnych?”

W tym miejscu pojawia się temat, od którego europejska debata bardzo często ucieka albo natychmiast zamienia go w moralny pojedynek: Migracja.

Trzeba powiedzieć rzecz oczywistą. Zagraniczny lekarz pracujący w niemieckim szpitalu, polski inżynier, syryjski uchodźca, indyjski informatyk, ukraińska matka z dziećmi i człowiek od lat pozostający poza rynkiem pracy nie są jedną kategorią ekonomiczną ani społeczną. Wrzucanie ich do jednego worka jest nonsensem. Ale nonsensem jest również udawanie, że obawy części niemieckiego społeczeństwa związane ze skalą i tempem migracji nie istnieją albo są wyłącznie produktem uprzedzeń.

Przed wyborami w Sachsen-Anhalt reprezentatywne badanie Infratest dimap pokazało, że najczęściej wskazywanym przez mieszkańców pojedynczym problemem landu były właśnie uchodźcy, imigracja, polityka azylowa i integracja. I tutaj pojawia się paradoks. Sachsen-Anhalt ma znacznie mniej mieszkańców z historią migracji niż Niemcy jako całość. A mimo to temat stał się tam politycznie najważniejszy. Można oczywiście powiedzieć ludziom, że ich lęk jest statystycznie nieproporcjonalny. Można. Tylko czy od tego przestaną się bać?

Obcy

Człowiek potrzebuje czegoś więcej niż PKB. Potrzebuje poczucia, że rozpoznaje świat, w którym żyje. Język. Obyczaj. Szkołę własnego dziecka. Ulicę. Normy zachowania. Relacje między kobietą i mężczyzną. Stosunek do religii. Prawo. To nie oznacza, że człowiek przybywający z innej kultury jest zagrożeniem. Oznacza natomiast, że gwałtowna zmiana otoczenia społecznego może być przez część mieszkańców przeżywana jako utrata kontroli nad własnym środowiskiem.

I tego uczucia nie da się administracyjnie zakazać. Można wymagać przestrzegania prawa. Trzeba zwalczać przemoc wobec cudzoziemców. Trzeba reagować na rasizm.

Ale demokratyczne państwo powinno również potrafić powiedzieć własnemu obywatelowi:
masz prawo oczekiwać, że państwo będzie kontrolowało granice, skalę migracji i zasady integracji.

To nie jest ekstremizm. To jedno z podstawowych oczekiwań wobec państwa. Bo jeżeli umiarkowani politycy odmówią rozmowy o tym problemie, rozmowa nie zniknie. Przejmą ją politycy nieumiarkowani. A oni zaproponują odpowiedź znacznie prostszą:

„Obcy — won.”

I wtedy będzie już za późno na subtelności.

Najgorsze, co można zrobić

Najgorszą reakcją establishmentu na społeczny niepokój jest moralna wyższość. Powiedzieć człowiekowi: nie rozumiesz gospodarki. Nie rozumiesz transformacji. Nie rozumiesz migracji. Nie rozumiesz klimatu. Nie rozumiesz Europy. Nie rozumiesz, że wszystko to robimy dla twojego dobra. A jeżeli nadal protestujesz, problem zapewne tkwi w tobie.

To jest politycznie samobójcze. Człowiek może nie znać ekonomii. Ale wie, ile miał na koncie pięć lat temu. Wie, ile kosztuje ogrzewanie. Wie, czy jego firma zatrudnia, czy zwalnia. Wie, czy jego dzieci mogą znaleźć mieszkanie. Wie, czy rozpoznaje dzielnicę, w której mieszka. I przede wszystkim wie, czy boi się jutra bardziej niż wczoraj.

Zielono mi

Niedawno zapytałem znajomego winiarza, jak interes. Odpowiedział:

— Jeszcze trochę tej zielonej polityki i możemy zamknąć interes.

To nie jest analiza makroekonomiczna. Nie jest to również dowód, że każda regulacja klimatyczna szkodzi gospodarce. Jest to jednak informacja o czymś innym. O stanie psychicznym człowieka, który produkuje, inwestuje, zatrudnia, płaci podatki i którego cierpliwość dochodzi do granicy.

Bo transformacja ekologiczna może mieć racjonalne cele. Tylko polityka, która traci zgodę ludzi mających ponosić jej koszty, wcześniej czy później przestaje być problemem technologicznym. Staje się problemem demokratycznym.

Mercosur, czyli wszystko można kupić. Do tego dochodzi rolnictwo.

Nie, umowa UE–Mercosur nie oznacza, że jutro europejskie gospodarstwa znikną, a pojutrze wybuchnie głód. To byłaby publicystyczna przesada. Ale pytanie o bezpieczeństwo żywnościowe jest całkowicie poważne. Europa przez trzy dekady uczyła się jednej religii gospodarczej:

jeżeli gdzie indziej jest taniej, kup tam.

Gaz? Kup. Komponenty? Kup. Elektronikę? Kup. Usługi informatyczne? Kup. Żywność? Dlaczego nie?

Działa znakomicie. Dopóki działa. Rosyjski gaz powinien być nauczyć Europę, że najtańszy dostawca nie zawsze jest dostawcą najbezpieczniejszym. Bezpieczeństwo kosztuje. Własny przemysł kosztuje. Własna energetyka kosztuje. Własne rolnictwo kosztuje. Armia również kosztuje. I jakoś nikt rozsądny nie proponuje likwidacji Bundeswehry dlatego, że ochronę Niemiec taniej można zamówić w call center w Azji.

Klasa średnia zaczyna liczyć

I w ten sposób wszystkie elementy układanki spotykają się w jednym gospodarstwie domowym. Nie w Komisji Europejskiej. Nie w zarządzie koncernu. Nie w telewizyjnym studiu. Przy kuchennym stole. Praca. Czynnosc. Energia. Ubezpieczenie. Podatki. Dzieci. Emerytura. Migracja. Bezpieczeństwo. Wojna. Przyszłość. Każdy z tych problemów osobno można ludziom wytłumaczyć. Problem polega na tym, że oni nie żyją osobno. Przychodzą razem.

I wtedy zaczyna się coś, czego żaden wskaźnik PKB nie mierzy – degradacja poczucia bezpieczeństwa.

Najgroźniejszy jest człowiek, który ma coś do stracenia.

Klasa średnia nie jest rewolucyjna z natury. Wręcz przeciwnie. Ma dom. Zawód. Oszczędności. Samochód. Urlop. Plany. Dzieci. Emeryturę. Dlatego przez dziesięciolecia była stabilizatorem europejskiej demokracji. Ale właśnie dlatego istnieje coś, czego boi się szczególnie:

Degradacja.

Nie trzeba człowiekowi odebrać domu. Wystarczy, że zacznie się bać, iż za kilka lat nie będzie go na niego stać. Nie trzeba zabierać pracy. Wystarczy, że widzi kolegę, którego stanowisko właśnie przeniesiono do Azji. Nie trzeba likwidować emerytury. Wystarczy, że przestanie wierzyć, iż system będzie w stanie ją wypłacić. Nie trzeba zmieniać całego jego otoczenia. Wystarczy, że zacznie mieć poczucie, iż nikt nie pyta go o tempo zachodzących zmian. Strach przed utratą statusu bywa politycznie potężniejszy od samej biedy.

A potem przychodzi ktoś i mówi:

dość.

I w końcu pojawia się polityk. Nie będzie tłumaczył globalnych łańcuchów wartości. Powie: Dość. Przywrócimy wam pracę. Zatrzymamy outsourcing. Odbudujemy przemysł. Państwo przejmie kontrolę nad strategicznymi przedsiębiorstwami. Ograniczymy wynagrodzenia zarządów. Zamówienia zbrojeniowe dostaną nasze fabryki. Energia będzie tania. Rolnictwo ochronimy. Granice zamkniemy. Najpierw nasi. Program może być ekonomicznie niespójny. Może być niebezpieczny. Może prowadzić do skutków odwrotnych od obiecywanych. Ale będzie miał jedną gigantyczną przewagę nad wszystkimi prezentacjami PowerPoint umiarkowanego centrum:

obieca człowiekowi odzyskanie kontroli.

I właśnie dlatego ostrzeżenie: „ale ten człowiek zagraża demokracji” może pewnego dnia przestać wystarczać. Wyborca odpowie:

„A gdzie była demokracja, kiedy traciłem poczucie, że mam wpływ na własne życie?”

Nie będzie to koniecznie odpowiedź sprawiedliwa. Ale politycznie może być zabójczo skuteczna. Umowa, której nikt nie podpisał Europejska demokracja opierała się przez dziesięciolecia na umowie, której nigdy nie zapisano.

Pracuję — więc utrzymam rodzinę.
Zdobywam kwalifikacje — więc będę miały wartość.
Oszczędzam — więc zabezpieczę przyszłość.
Płacę podatki — więc państwo zapewni podstawową stabilność.
Przestrzegam prawa — więc prawo chroni również mnie.
Akceptuję zmiany — ponieważ wiem, że ktoś kontroluje ich skalę.
Głosuję — więc mam wpływ.

To właśnie była społeczna infrastruktura demokracji. Nie Bundestag. Nie traktaty. Nie konferencje prasowe. Zaufanie. Jeżeli obywatel przestaje wierzyć w kolejne punkty tej umowy, nie wystarczy przypominać mu, że powinien być wdzięczny demokracji. Trzeba sprawić, żeby znowu miał powód jej ufać. Bo człowiek, który uważa, że system przestał chronić jego przyszłość, może pewnego dnia uznać, że przyszłość systemu również przestała być jego problemem.

I wtedy zaczynają się rzeczy naprawdę niebezpieczne.

Epilog

Niedawno spotkałem znajomego winiarza.

Zapytałem:

— *Jak interes?*

Machnął ręką.

— *Jeszcze trochę tej zielonej polityki i możemy zamknąć interes.*

Chwilę pomilczał.

— *A niech to wszystko w końcu zgnije.*

I może właśnie tych ostatnich słów powinni najbardziej bać się politycy. Nie powiedział ich zawodowy rewolucjonista. Powiedział je człowiek, który chce uprawiać winorośl. Pracować. Sprzedawać wino. Żyć. A jednak doszedł do punktu, w którym mówi: niech zgnije.

Inżynier mówi: moja praca nie jest tutaj potrzebna. Przedsiębiorca: mój interes przestaje mieć sens. Rolnik: nie opłaca mi się produkować. Obywatel: nie mam wpływu. A potem wszystkie te zdania mogą spotkać się przy jednej urnie wyborczej. 6 września w Sachsen-Anhalt zobaczyliśmy, że nie jest to już pytanie wyłącznie teoretyczne.

Koda

JW:

Słyszałeś, że chcą Wagnerowi odwołać festiwal operowy?

BS:

W Bayreuth?

JW:

Podobno znowu boją się Nibelungów.

BS:

A złoto Renu jeszcze płynie?

JW:

Coraz mniej.

BS:

To czemu się dziwisz?

JW:

Czemu?

BS:

Dobrze, że jeszcze Moguncji nie przenieśli do Wietnamu...

JW:

Za droga?

BS:

Na razie. Gutenberg zagroził, że przeniesie konto do Szwajcarii.

Ciąg dalszy nastąpi. Za dwa tygodnie – w Meklemburgii-Pomorzu przednim.

Post scriptum

Beethoven miał kiedyś powiedzieć do księcia Lichnowskiego:

„Książąt było i będzie tysiące. Beethoven jest tylko jeden.”

Brzmi jak pycha. Ale tylko wtedy, kiedy czyta się to powierzchownie. Beethoven nie mówił wyłącznie o sobie. Mówił o różnicy między człowiekiem, którego pozycję stworzyło urodzenie, a człowiekiem, którego pozycję stworzyło dzieło. Książę jest księciem dlatego, że urodził się księciem. Twórca, uczony, inżynier, lekarz, rzemieślnik, przedsiębiorca — staje się kimś dlatego, że coś umie, coś stworzył, coś zbudował, coś pozostawił. I może właśnie tu zaczyna się problem każdej elity.

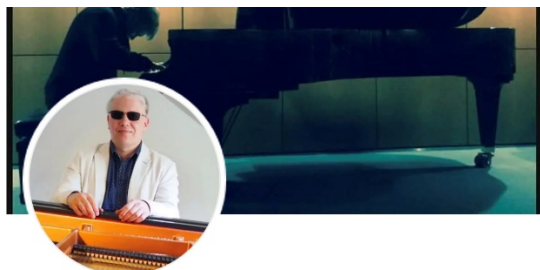
W chwili, w której zaczyna wierzyć, że jej pozycja sama w sobie jest dowodem wartości. Stanowisko nie jest talentem. Tytuł nie jest kompetencją. Urząd nie jest mądrością. Miejsce przy stole nie oznacza jeszcze, że ktoś potrafi go zbudować. Społeczeństwa przez pewien czas tolerują elity zamknięte we własnym przekonaniu o wyższości. Ale nie w nieskończoność. Bo wcześniej czy później ktoś z dołu patrzy na ludzi znajdujących się na górze i zadaje pytanie bardzo podobne do tego, które zadał Beethoven: co właściwie sprawia, że to wy macie decydować o mnie?

Nazwisko? Stanowisko? Partia? Majątek? Dostęp do telewizji? Czy może rzeczywista wartość tego, co potraficie zrobić?

Beethoven nie domagał się likwidacji elit. Domagał się czegoś dla elit znacznie trudniejszego. Żeby zasługiwały na swoją pozycję. Bo książąt rzeczywiście może być tysiące. Beethovenów zawsze będzie mało. I właśnie dlatego rozsądne społeczeństwo nie powinno mylić jednych z drugimi.

7 września, 2026

Autor: Tomasz Trzcíński



TOMASZ TRZCIŃSKI 

Muzyka – pasja, zawód i radość. Historia i patriotyzm – natura i przywiązanie do Ojczyzny. Astronomia i fotografia. Wszechświata – spojrzenie w nieskończoność.
„Po pierwsze Polska, po pierwsze Polacy!”